

HARLEQUIN®

Romans®

NR 1 01/11 INDEKS 360325 CENA 8,99 ZŁ W TYM 5% VAT

Liz Fielding
Wymarzony ślub

Liz Fielding
Wymarzony ślub

Tłumaczyła
Agnieszka Nowakowska

Tytuł oryginału: The Bride's Baby

Pierwsze wydanie: Harlequin Romance, 2008

Redaktor serii: Ewa Godycka

Korekta: Urszula Gołębiwska

© 2008 by Liz Fielding

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: Studio Q, Warszawa

ISBN: 978-83-238-8091-2

ROMANS – 1050

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sylvie Smith spojrzała na zegarek w laptopie. Była czternasta czterdzieści, a Tom McFarlane wyznaczył jej spotkanie na czternastą. Czekaając w recepcji jego luksusowego biura, nie siedziała z założonymi rękoma, więc czas płynął szybko. Było później, niż przypuszczała.

To spóźnienie mówi samo za siebie. Ona jest jego wrogiem, więc nie poczęstowano jej nawet filiżanką kawy. Może to i lepiej, bo przy takim napięciu kofeina nie służy.

Nie mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu, więc czekając na niego, dopracowywała szczegóły wesela pewnej supermodelki, która zażyczyła sobie przyjęcia w stylu indyjskim. Sylvie udało się nawet wynająć słonia na tę uroczystość. Zdołała też ukoić nerwy piosenkarki, która walczy, by nie przygasła jej sława, urządzając wielkie party z okazji wydania nowej płyty.

Ale pracowała także po to, by nie rozmyślać o czekającym ją spotkaniu, o ile w ogóle do niego dojdzie. Wiedziała, że jest ostatnią osobą na świecie, którą Tom McFarlane chciałby oglądać, i rozumiała, dlaczego tak się ociąga z wyjściem do niej. Sylvie też nie było spieszno, żeby go zobaczyć.

Minęło następne pięć minut. Dosyć tego.

Sylvie słynęła nie tylko z perfekcjonizmu, lecz także z ogromnej cierpliwości dla klientów, i dlatego jej firma, która zajmowała się organizacją imprez, cieszyła się w Londynie znakomitą renomą.

Zgodziła się na to spotkanie wbrew sobie, bo nie chciała widzieć człowieka, o którym nie przestała myśleć od chwili, gdy pół roku temu ujrzała go po raz pierwszy.

Tom McFarlane miał poślubić Candidę Harcourt, jej koleżankę szkolną i ulubienicę kolorowych gazet.

Zdecydowała się przyjść, bo on musi wypisać jej czek, by mogła zapłacić zaległe rachunki i raz na zawsze zapomnieć o tym koszmarze.

Zamknęła komputer i podeszła do recepcjonistki, która przez cały czas udawała, że jej nie widzi.

– Nie mogę dłużej czekać. Jeśli pan McFarlane ma do mnie jakieś pytania, proszę mu powtórzyć, że jutro rano będę uchwytana w biurze.

– Pan...

– Spiesz się, przykro mi – przerwała.

To nie do końca prawda, skoro jej pracownicy świetnie poradzą sobie bez niej, gdyby piosenkarka miała jeszcze jakieś zachcianki związane z przyjęciem. Ale zamierzała pokazać, że dla niej czas też jest cenny, choć zapewne trochę mniej niż dla miliardera. A poza tym może on też się ucieszy, że nie musi jej oglądać i po prostu prześle ten czek pocztą.

– Jeśli nie wrócę do...

Gdy patrząca na nią recepcjonistka pospiesznie podniosła wzrok, Sylvie zorientowała się, że ktoś stoi za jej plecami, i odwróciła głowę.

Zobaczyła górujący nad nią potężny tors pod białą płócienną koszulą. Rękawy podwinięte do łokci odsłaniały muskularne przedramiona i silne przeguby, jedwabny krawat zawiązany był luźno, jakby jego właściciel właśnie stoczył zacieklą, lecz zwycięską walkę.

Widziała go po raz drugi w życiu, choć od sześciu miesięcy pracowała nad jego weselem.

Gdy przemogła się i spojrzała mu w twarz, dostrzegła znajomy dołek w podbródku. Tę twarz widywała na zdjęciach, zanim poznała go osobiście. Nie zabiegał o rozgłos, ale niezonaty miliarder budzi zainteresowanie kolorowej prasy, a tym bardziej nie mógłby się przed nią uchronić po zaręczynach z młodą arystokratką, której całe życie sprowadzało się do bywania i pokazywania na zdjęciach.

Ten dołek znamionował siłę, a ona znów zaczęła myśleć o swej szkolnej koleżance. Co też jej przyszło do głowy? Głupie pytanie. Od chwili, gdy Candy wpadła jak burza do jej biura, domagając się, by Sylvie zorganizowała jej ślub i wesele z miliarderem Tomem McFarlane'em, doskonale było wiadomo, o co jej chodzi.

To miało być zwieńczeniem jej kariery życiowej, której plany zdradziła jeszcze w szkole, mówiąc, że zamierza wyjść za milionera z domem w najlepszej dzielnicy Londynu, posiadłością wiejską i tytułem.

Jednak tytuł nie był dla niej najważniejszy, obowiązkowe było konto w banku.

Po co się miała starać na egzaminach, skoro nie zamierzała iść na uniwersytet? Nie byli jej w głowie studenci pogrążeni w długach. Postanowiła twardo dopiąć swego i znaleźć odpowiednią partię. Koleżanki pod-

śmiewały się z niej, gdy wdzięczyła się i robiła na bóstwo, ale nikt nie miał wątpliwości, że osiągnie cel.

Kilka razy zbliżyła się do niego o krok. Dobiegając trzydziestki, chyba zrozumiała, że powinna się pospieszyć, więc z jeszcze większą determinacją zabrała się do dzieła, lecz zapewne z powodu inflacji, zamiast milionera postanowiła upolować miliardera.

Lecz o co w tym chodzi Tomowi McFarlane'owi? To jeszcze głupsze pytanie. Przecież wiadomo, że wystarczy, by Candy seksownie się uśmiechnęła, a krew uderza do głowy każdemu mężczyźnie. Zamiast ślęczeć po nocach nad książkami, dbała o urodę, a trzeba przyznać, że natura nie poskąpiła jej walorów. Śliczna, pogodna, pełna wdzięku – nie do odparcia.

Ale gdy się poznali, majestatyczny Tom McFarlane spoglądał na Sylvie z zimnym błyskiem w oczach, a ona od razu poczuła nieprzeparcie, że w jego żyłach płynie krew, i ona sama też nie jest z kamienia.

Kiedy spotkali się wzrokiem, zaiskrzyło, ale Sylvie powstrzymała burzę uśpionych od dziesięciu lat hormonów. W końcu jest profesjonalistką i musi pamiętać o Candy. Dojrzała kobieta, która świetnie sobie radzi w interesach, potrafi pokonać nagły przypływ pożądania.

Na szczęście Tom McFarlane, który na pewno miał wtedy ważne sprawy do załatwienia, podpisał umowę, po czym przeprosił je i wyszedł.

Na wspomnienie tamtego krótkiego spotkania poczuła, jak jedwabna bluzeczka pod lnianym żakietem przykleiła się jej do pleców. Ale skoro wtedy dała sobie radę, teraz też wyjdzie z tego obronną ręką. Na tym po-

lega jej praca, przyzwyczaiła się do trudnych sytuacji. Musi się trzymać, zachować obojętny wyraz twarzy, pokonać drżenie kolan.

– Jeśli pani nie wróci teraz, to co? – spytał zaczepnie.

– Będę miała problem. – Żle się wyraziła, już go miała, bo Tom niczym głąz zagroził jej drogę do wyjścia. Wiedziała jednak, że nie wolno tracić zimnej krwi, więc z chłodnym profesjonalnym uśmiechem wyciągnęła do niego dłoń. – Witam pana. Właśnie mówiłam, że wychodzę.

– Słyszałem – odparł. – Proszę zadzwonić i uprzedzić, że się pani spóźni. Bez mojej zgody nigdzie pani nie pójdzie.

Co on sobie wyobraża? Błysk w jego oczach wskazywał, że Tom McFarlane chce ją sprowokować. Czeka na jej wybuch. Nigdy w życiu, postanowiła, po czym powiedziała z udawanym chłodem:

– Mam spotkanie z Delores Castello – rzuciła nazwisko sławnej piosenkarki. – Więc proszę zrozumieć, że nie mogę go odwołać.

Przyszła tu zdeterminowana, by załatwić sprawę płatności, ale kiedy zaczął nią komenderować, uznała, że będzie nieugięta i nie pozwoli na to.

– Spróbuję znaleźć dla pana inny termin. – Otworzyła boczną kieszeń torby, by sięgnąć po kalendarz.

Jeśli liczyła, że nazwiska jej klientów zrobią na nim wrażenie, nic z tego nie wyszło.

– To niemożliwe – rzucił. – W tej sprawie nie będę już się spotykał, więc jeśli chce pani uregulować ten ogromny rachunek, jaki ma pani do zapłacenia, musimy omówić to dzisiaj.

Ugryzła się w język, by nie powiedzieć czegoś, czego będzie żałować. Tom miał oczywiste powody do wściekłości, ale ten rachunek nie był aż tak ogromny, gdyż kosztem wielkiego wysiłku zdołała odwołać wiele zamówień. Przecież nie odpowiada za to, co się stało. Gdyby tak mocno nie zaciskała ust, mogłaby mu to wyjaśnić.

– Proszę odwołać inne sprawy, bo jeśli dziś tego nie załatwimy, to przysięgam, że żeby odzyskać pieniądze, będzie pani musiała podać mnie do sądu.

On chyba żartuje. Ale kto wie, może mówi serio? Lodowaty ton współgrał z jego wyrazem twarzy, linią ust znamionującą stanowczość i wydatnymi kośćmi policzkowymi. Był jak wulkan, którego wierzchołek tonie w śniegu, lecz w środku bulgoce lava. Wiedziała, że jeśli nie zachowa ostrożności, wybuch okaże się dla niej śmiertelny.

Tom McFarlane to typ nieustraszonego zdobywcy. Kiedyś tacy jak on w poszukiwaniu sławy i majątku wyruszali na podbój obcych lądów i oceanów. Stał się współczesną legendą, wcieleniem człowieka, który wszystko zawdzięcza sobie. Jako dziecko pomagał w sklepie, gdy miał kilkanaście lat, zajął się handlem hurtowym i obracał grubymi tysiącami. Pierwszy milion zarobił jeszcze przed dwudziestką.

Jego pracowitość i upór budziły jej uznanie, ale Candy z pewnością nie przyszło łatwo zdecydować się na człowieka, który nie mógł poszczycić się pochodzeniem. Choć dorobił się majątku, nie miał arystokratycznych manier. Ktoś taki nie spocznie na laurach i nie będzie udawał lorda.

Nie miał ani wiejskiej posiadłości, ani eleganckie-

go domu w Londynie, i jak zrozpaczona Candy kiedyś przyznała Sylvie, jego duży penthouse znajduje się po niewłaściwej stronie Tamizy. Skarżyła się, że zbył ją śmiechem i kpił z tych, którzy niepotrzebnie zapłacili fortunę za dobry adres.

Sylvie stłumiła wtedy uśmiech i pomyślała, że nawet wśród miliarderów można upolować mniej upartą i łatwiejszą zdobycz.

Ale jej koleżance właśnie on wydał się wyjątkowy. Inaczej nie walczyłyby o niego z taką determinacją. Kto wie, może na Candy po prostu robił także wrażenie jako mężczyzna. I trudno się jej dziwić, pomyślała Sylvie, gdy Tom, nie czekając na odpowiedź, ruszył do gabinetu. Mogła pójść za nim, wiedziała, że wybór należy do niej.

Candy sądziła naiwnie, że weźmie go pod obcas, lecz była w błędzie, choć czasem ulegał jej silikonowym wdziękom. Ale Sylvie, w odróżnieniu od jego narzeczonej, nie zamierzała się odwracać na pięcie. Pieniądze, które miał jej zwrócić, nie należą do niej. Była je winna dziesiątkom ciężko i uczciwie pracujących ludzi. Oni jej ufają. Więc przemogła się i zadzwoniła do swego biura z wiadomością, że się spóźni.

Ta rozmowa trwała zaledwie pół minuty, lecz on zdążył w tym czasie usiąść za biurkiem. Pochylony w skupieniu nad papierami, szczupłymi palcami odgarniał ciemne włosy znad czoła. Z pewnością miał przed sobą kopię rachunków nadesłanych pocztą razem z listem, w którym narzeczonea oznajmiała mu o zerwaniu. Odesłał jej te rachunki z sugestią, by przekazała je swemu nowemu mężczyźnie życia, ale ten jakoś zignorował tę propozycję.

W głębi duszy Sylvie uważała, że Tom McFarlane miał szczęście, lecz on najwyraźniej nie podzielał tej opinii. Został porzucony przed samym ślubem, więc trudno się dziwić, że jest zły. To nie może być łatwe, wiedziała o tym z doświadczenia. I dlatego, że sama to przeżyła, wiedziała także, że pod żadnym pozorem nie wolno mu okazywać współczucia.

Rachunek i gruby plik faktur przesłała mu więc w zwykłej firmowej kopercie wraz z uprzejmym upomnieniem, że termin płatności podpisanej przez niego umowy upływa po dwudziestu ośmiu dniach. Podarowała sobie uwagę, że minęło już pięć dni, i nie przestrzegła go, że jeśli nie dopełni zobowiązań, skieruje sprawę do adwokata. Wierzyła, że to nie będzie konieczne.

Tom McFarlane powinien zrozumieć, że nie zajmowała się ich weselem z przyjaźni, lecz to była praca zawodowa. Miała nadzieję, że czek odeśle jej pocztą. Lecz on zadzwonił do niej, mówiąc, by stawiła się w jego biurze nazajutrz o czternastej, po czym rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Nie pozostało jej więc nic innego, jak zaczerpnąć głęboki oddech i odwołać dzisiejsze spotkanie.

Teraz, gdy rzucił jej szybkie spojrzenie, błysk jego stalowoszarych oczu sprawił, że tak samo jak wtedy poczuła, jak zaiskrzyło. Błyskawica przeszła ją do szpiku kości, wywołała rumieniec i drżenie. Żaden mężczyzna tak na nią nie działał, nawet Jeremy. Co się z nią dzieje, do licha? Dotąd niczego nie robiła pochopnie.

Nigdy też nie zakochała się od pierwszego wejrzenia. Przecież Jeremy'ego znała od kołyski. I nie zamierza na-

gle się zmienić, bo w interesach trzeba zapomnieć o pożądanym i przyjemności. Ale rozumiała, dlaczego Candy nie szukała łatwiejszej zdobyczy. Dlaczego nie znalazła sobie pocziwca, który kupiłby jej posiadłość wiejską i spełnił każdą jej zachciankę.

– Proszę usiąść, panno Smith, to chwilę potrwa – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Ze swymi klientami zazwyczaj jest po imieniu, ale skoro wtedy nie przeszli na ty, nie zaproponuje mu tego teraz. Usiadła więc bez słowa, a on nie spuszczał z niej wzroku, gdy próbowała wygodnie się usadowić.

Poczuła, że zrobiło się jej gorąco, więc szybko rozpięła żakiet. Wciąż bacznie się jej przyglądał i przemówił dopiero, gdy zastygła bez ruchu:

– Wyrzuciła pani z firmy szanownego Quentina Turnera Lyalla?

– Wie pan z pewnością, że miłość nie jest powodem do zwolnienia z pracy – odparła, z trudem przetykając ślinę. – Pozwałby mnie za to do sądu pracy.

– Miłość? – powtórzył z odrazą.

– A cóż innego? – odpowiedziała pytaniem.

Co, jeśli nie miłość, skłoniłoby Candy do tego szaleństwa na kilka dni przed ślubem?

– Więc dobro klienta nic dla pani nie znaczy? – Spiornował ją wzrokiem. – Bo w swoim uprzejmym upomnieniu nazywa mnie pani klientem. Jak przypuszczam, pan Lyall nie uprzedził wtedy, że nie będzie go w pracy?

– Prawdę mówiąc, poprosił mnie o krótki urlop – odparła w popłochu.

Jej słowa na dłuższą chwilę odebrały mu mowę.

– A więc zwolniła go pani, żeby mógł romansować z klientką? – powiedział w końcu.

Najwyraźniej nie powinna mówić, że dała się wtedy nabrać na „chorą babcię”. Gdy Candy wzięła Quentina na zakupy, Sylvie nawet nie przyszło do głowy, że jej koleżanka gotowa jest poświęcić najważniejszy dzień swego życia dla przygody z dwudziestopięcioletnim pracownikiem biurowym. Nawet jeśli miałyby kiedyś zostać dzięki niemu hrabiną. Quentin pochodził z długowiecznej rodziny, więc miał niewielkie szanse na odziedziczenie tytułu po swoim dziadku przed pięćdziesiątką, albo raczej sześćdziesiątką.

Mimo złości na nich obydwójce, Quentinowi, który naiwnie uległ wdziękom jej koleżanki, trochę współczuła. Gdy Candy go rzuci, a on zechce wrócić do pracy, będzie musiała mu powiedzieć, że to niemożliwe. Skoro tak trudno się jej oprzeć i nawet Tom McFarlane dał się omamić, to będzie okrutne, nie mówiąc już o tym, że rozstanie z nim to wielka strata dla firmy.

Quentin potrafił działać kojąco na nerwowe klientki. Poza tym to miły i przyzwoity chłopak, któremu nie przyszłoby na myśl podać jej do sądu za nieuzasadnione zwolnienie. W ferworze zakupów Candy chyba też puściły nerwy, więc ją także chciał wesprzeć, i narobił sobie kłopotów.

Tymczasem Tom McFarlane z kamienną twarzą przeglądał rachunki. Sylvie też się nie odzywała. Wstrzymując oddech, przypatrywała się jego palcom przewracającym strony. Nie widziała jego oczu, tylko rysunek szczęki, dołek w brodzie, kącik zaciśniętych ust.

W gabinecie słychać było jedynie szelest papieru, gdy

Tom McFarlane spoglądał na gruzy swoich planów matrymonialnych z kobietą, której drzewo genealogiczne sięgało Wilhelma Zdobywcy.

Sylvie czekała w napięciu, a on jeszcze nigdy nie czuł takiej wściekłości. Małżeństwo z Candidą Harcourt miało uwieńczyć jego życiowe ambicje. Arystokratyczna żona pomogłaby mu ostatecznie zapomnieć o świecie, z którego pochodził. Dzięki niej osiągnąłby wszystko to, czego poprzysiągł sobie dokonać w młodości. Elegancie ubrania, drogie samochody i piękne kobiety – to mu nie wystarczało, chciał czegoś więcej.

Nie był na tyle naiwny, by uwierzyć, że Candy go kocha. Ale myślał, że miłość powoduje tylko bicie serca i ból, a ten związek wydawał mu się idealny. Ona miała wszystko oprócz pieniędzy, on miał ich dość, by zaspokoić jej najśmielsze marzenia.

I do tego jeszcze, jak na ironię, nie opuszczało go poczucie winy dlatego, że nie potrafił zapomnieć o Sylvie, podczas gdy jego narzeczona oszalała na punkcie chłystka pracującego jako asystent biurowy.

Ale ten chłystek jest arystokratą. Jak się okazuje, pochodzenie liczy się bardziej niż majątek. Ważne też są powiązania towarzyskie, a Sylvie Smith organizowała wesele Candy dlatego, że znały się ze szkoły.

Sylvie, o której próbował nie myśleć przez pół roku i na próżno walczył z sobą, by już jej więcej nie spotkać.

Kiedy siedział schylony nad biurkiem, rozpięła żakiet. Pod ciemnobrązową jedwabną bluzką zarysowały się piersi, które nie potrzebowały silikonu, a ona nerwowo poprawiała kosmyk naturalnych jasnych włosów.

Skrzyżowała nogi, a on przez chwilę nie mógł ode-

rwać wzroku od jej szczupłych kostek i stopy w brązowym zamszowym pantoflu z kokardą. Nie tylko ona czuła przypływ gorąca. Zamiast wypisać czek i pozbyć się jej z gabinetu, patrząc na rachunek, który trzymał w dłoni, burknął:

– Wyrzutnia konfetti? Co to takiego?

Sylvie zastygła. Sądziła, że już gorzej nie będzie, ale się myliła. Musi wziąć się w garść, zachować spokój.

– Jak wskazuje nazwa, służy do rozrzucania konfetti – wyjąkała. Niech to diabli, nie wolno jej przejmować się tylko dlatego, że on ma zły dzień. – Konfetti w różnych wielkościach, kształtach i kolorach. To jest naprawdę bardzo widowiskowe.

Patrzył na nią, jakby postradała zmysły. W gruncie rzeczy może ma rację, bo czy ktoś zdrowy na umyśle przeczesuje internet, by znaleźć słonia do wynajęcia? Czy kariera zawodowa może polegać na spełnianiu cudzych fanaberii?

Tylko spokojnie. Asystuje temu praktycznie od dziecka. To był żywioł jej matki, która w odróżnieniu od niej nie robiła tego dla pieniędzy, lecz wydawała przyjęcia dla bliskich i organizowała imprezy dobroczynne. Zajmowała się tym z pasją i była szczęśliwa, że robi coś pożytecznego.

– A feeria świateł? – spytał z irytacją.

– To różnobarwne światła, których kolory zmieniają się w kropelkach spadającego deszczu.

– A jeśli nie pada? – nie dawał za wygraną.

– Wtedy rozpylamy wodę.

– Pani żartuje.

O ile łatwiej rozmawia się o tym z kimś, kto z rado-

ścią planuje fantastyczną imprezę, niż z człowiekiem, który uważa, że to wszystko jest jakimś ponurym żartem!

– Czy nie omawiał pan tego z Candy?

Na jego szerokim czole pojawiła się zmarszczka. Co za głupie pytanie, pomyślała. Miliarderzy nie marnują czasu na rozmowy o konfetti.

Tom McFarlane tylko wypisał czek, pozwalając, by jego narzeczona zorganizowała wesele swych marzeń, a sam zajął się zarabianiem pieniędzy.

Candy uważała, że na tym właśnie polega sprawiedliwy podział pracy. Ona podeszła do swych obowiązków z ogromnym entuzjazmem i solidnie. Gdyby zechciała na wesele słonia, to by go dostała, gdyby zamarzyła o innych zwierzętach, miałyby całą menażerię. Dla niej nie istniały żadne ograniczenia, a ona niczego sobie nie żałowała.

Koszta tej imprezy były astronomiczne. W rezultacie Sylvie była winna tysiące funtów przeróżnym firmom specjalistycznym, z którymi stale współpracowała, a one jej ufały. Dlatego nie miała zamiaru wyjść stąd bez czeku, nawet jeśli to potrwa do rana. Tom McFarlane, choć wściekły, musi go wypisać.

Zdołała trochę się uspokoić, lecz pod wpływem jego spojrzenia poczuła, że znowu robi się jej gorąco. Zerknęła na niego ukradkiem, myśląc, że właściwie nie byłoby źle, gdyby miała z nim spędzić całą noc.

Spuściła wzrok i lekko drżącą dłonią poprawiła kosmyk za uchem. Nie może się poddawać, musi jakoś przetrwać, bo inaczej zapłaci za to głową.

W gabinecie panowała dziwna cisza. Telefon milczał,